

Plotki lwowskie.

(Car we Lwowie. — W jakim celu car przybywa do Lwowa? — Zalety Galicyi. — Cesarz Wilhelm i dr. Lueger. — Dobre strony rzezi żydów. — Kto zastąpi czarne sotnie? — Coby robił dr Lueger bez żydów? — Powódz koncertów. — Brak koni we Lwowie. — Dlaczego magistrat nie kropi ulic? — Wyodrębnienie Galicyi. — Kandydaci na ministrów. — Dwie nagrody Nobla. — Nie warto być cnotliwym. — Co nie przyniósł św. Mikołaj? — Czego się szuka a co się znajduje? — Historia o pewnym autorze dramatycznym, o jego dramacie, kolacyi i gościach. — Jedyny znawca wytrzymały. — Co się pokazało?)

Wbrew wszelkim wersjom, podawanym w dziennikach, jakoby car Mikołaj zamierzał udać się nad jezioro Garda, lub umknąć w inne jakieś bezpieczne miejsce przed rewolucją w swoim państwie, dowiaduję się w drodze prywatnej od osoby wtajemniczanej w rosyjskie stosunki dworskie, że car wprawdzie opuszcza tymi dniami Rosję, która staje się dlań coraz mniej bezpieczna, ale nie jedzie nad jezioro Garda. Car przyjeżdża z całą pewnością do Lwowa, przyjeżdża incognito w przebraniu rosyjskiego studenta i zamieszka w hotelu Imperial, bo na hotel George'a obecne stosunki finansowe Rosji nie pozwalają.

Powody, dla których car wybrał właśnie Lwów, a nie inne miasto, są bardzo proste. Oto mając zamiar nadać swoim ludom konstytucję, przyjeżdża do Lwowa studyować jej szczegóły i poznać jej błogosławieństwo. Słyszał bowiem od swego Trepowa, Durnowa i innych jeszcze mądrzejszych mężów stanu, że w żadnym innym mieście środkowej Azji (może Europy? *Pytanie zecera*) nie przestrzegają bardziej zasad konstytucyj i nigdzie konstytucja nie wydała tak pięknych, jak we Lwowie rezultatów.

Nie, ażeby się chwalić, ale w interesie prawdy należy przyznać, że car istotnie we Lwowie wiele rzeczy gołym okiem widzieć może, których gdzieindziej z pewnością ani przez mikroskop, teleskop, telekroskop nie zobaczy.

Najwięcej zaś zaimponowała carowi zakomunikowana mu wiadomość, że w tym kraju ciesząc się tak dawno swoją konstytucją, znaleźli się ludzie lojalni, którzy ofiarowanej im reformy wyborczej nie chcą przyjąć, ale owszem zwalczają ją zaciekle w swoich dziennikach, że socjaliści i rząd dążą do jednego celu (?) i że arcykonserwatysta hr. Dzieduszycki zwalcza reformę wyborczą jedynie w interesie socjalistów!

Tych to wychowanków konstytucyjnego powietrza chciał car na własne oczy zobaczyć i poznać. Dlatego nikogo dziwić nie powinno, że car Mikołaj wybrał właśnie nasze miasto, gdzie nadto ma swoich zwolenników, swojego konsula, swoje dzienniki, gdzie ma konną policję, końskie jatki, koński tramwaj i inne końskie przyjemności, a gdzie mile spędzić może kilka miesięcy, jak chyba nigdzie.

Natomiast nie mamy żadnej prawie nadziei ujrzenia w naszym mieście *reiseredekaisera* Wilhelma, mimo, że lubi tyle podróżować i zwiedzać znakomite miasta i mimo, że go tak bardzo tu widzieć pragniemy, ani burmistrza Wiednia dra Luegera, którego znowu domagają się i do Lwowa zapraszają liczne stowarzyszenia żydowskie, pragnące dać wyraz swoim sympatjom dla wielkiego filosemity za ostatnią jego mowę, zapowiadającą rzeź żydów we Wiedniu.

Dr. Lueger bowiem, jako mąż sprawiedliwy, wychodzi ze słusznego założenia, że skoro rząd już chce koniecznie coś zrobić dla socjalistów i przeprowadzić po ich myśli reformę wyborczą, to niechże coś zrobi i dla innych upośledzonych, mianowicie dla żydów i rządzi im masową rzeź pod protektoratem rządu na wzór pogromów rosyjskich, ażeby w ten sposób podnieść i rozdmuchać sympatię świata cywilizowanego dla żydów austriackich i ażeby ci nie zostali ani o jeden centymetr w tyle za żydami rosyjskimi. W miejsce rosyjskich czarnych sotni i chuliganów, podejmuje się dr. Lueger pod osobistą odpowiedzialnością, dostarczyć zdolnych wykonawców rzezi z grona swoich zwolenników politycznych, których dobrze zna i o których wie, że na nich polegać można z całym spokojem.

Żydzi jednak nie zrozumieli dobrych intencji ich przyjaciela i niepotrzebnie udali się z żalami do barona Gautscha, że Lueger ma gust wyróżniać wszystkich żydów. Nonsens! Gdzieżby człowiek tak mądry i szlachetny, zdobył się na taki krok? Nawet gdyby mu rząd dał specjalną licencję w tym kierunku, to także by tego nie uczynił. Nie zapominajcie panowie żydzi, że dr. Lueger z was żyje, że wy mu jeść dajecie i że gdyby nie było żydów, dr. Lueger nie byłby ani burmistrzem

Wiednia, ani tak wielką figurą, przed którą drżą nawet wszystkie mamki wiedeńskie. Lueger jest największym przyjacielem syonistów, bo chce wyprowadzić żydów z Austrii i pozbawić ich chleba. Jestem pewny, że gdyby pewnego poranku wszyscy żydzi wyemigrowali z Austrii, dr. Lueger bezzwłocznie powiesiłby się na własnych szelkach.

Ponieważ atoli do tego jeszcze daleko (t. j. nie do powieszenia się dra Luegera, bo o tem nie mam żadnej wiadomości, ale do masowej emigracji żydów), przeto nieuzasadnionym jest niepokój żydów, audyencye u Gautscha i inne kroki podejmowane przez ludzi, którzy nie chcą zrozumieć, że czasem słodką jest śmierć za ojczyznę dra Luegera.

Tak więc nie ujrzymy na razie we Lwowie ani Wilhelma złotoustego, który nie przestaje myśleć nad wyduszeniem wszystkich Polaków, ani dra Luegera, który dał sobie słowo honoru, że tak długo nie spocznie, dopóki nie doczeka się założenia we Wiedniu jatek z tanim mięsem żydowskim — nie ujrzymy ich, nie przyjadą do Lwowa, nad czem szczerze bolejemy.

Za to cieszymy się, że w ostatnich dwóch tygodniach przesunęło się przez miasto nasze tylu artystów światowej sławy, że mieliśmy taką powódz koncertów, wieczorów muzycznych i zwyczajnych przedstawień operowych, iż omal nie potonęliśmy wszyscy w morzu muzyki i śpiewu, ale szczęściem obeszło się bez wypadku i nie potrzeba było wzywać stacyi ratunkowej.

Nic więc dziwnego, że ludzie wyszastali się na koncerty i teraz zmuszeni są jadać koninę i oblegać jatki końskie, do których dostęp trzeba sobie zdobywać pięściami, a które nie są w stanie nastarczyć tyle mięsa. Ktoby się kiedy spodziewał, że we Lwowie zabraknie konie? Konia z rzędem za kawałek konia — wołają konsumenci, a pan Babaczek czy Bobiczek, dyrektor końskiego towarzystwa akcyjnego, odpowiada na to: czekajcie aż podrosną i wychowają się, tymczasem jedzcie woły, koty, psy... konie będziecie jeść na święta.

Święta zbliżają się szybkim krokiem a ruch przedświąteczny daje się odczuć na ulicach miasta obok... kurzu, tego specyficznie lwowskiego kurzu, przysłówiowego, gęstego, przyjemnego. Magistrat lwowski powiada sobie: skoro nie kropiliśmy w lecie, kiedy tak bardzo wszyscy narzekali i kiedy kropić było naszym obowiązkiem, czegoż mamy kropić w zimie, kiedy nieba powinny zesłać śnieg, albo deszcz? Że niebo zamiast deszczu zsyła wiatr, który zamiata kurz z ulic, o to trudno winić magistrat, który jak wiadomo za niebo i jego nieporządki nie odpowiada. Zresztą p. Michalski codziennie rewiduje barometr magistracki i przepowiada na tej podstawie zmianę aury na pewne, a jeżeli zmiana spaźnia się o kilka dni, to nie można jeszcze z góry liczyć na takie opóźnienie i fatygować i psuć wszystkie sikawki, rozpylacze, kropidła czy szpryce magistrackie, dla czyjejs tam zachcianki.

Zresztą nie opłaci się już dziś robić jakieś nowe porządki, bo i tak coraz głośniejszą mową o mającym nastąpić wyodrębnieniu Galicyi, a wtedy urządzimy się całkiem inaczej. Galicya co prawda jest już faktycznie dawno wyodrębniona w stosunku do przywilejów innych prowincji austriackich, bo nam pozwalają tylko z daleka przypatrywać się, jak się inne prowincje rozwijają, a tylko pod względem siły podatkowej zrównano nas z innymi. Ale to wyodrębnienie nam jeszcze nie wystarcza, chcemy bowiem mieć własnych ministrów, na których mamy dojrzałych kandydatów i własny, swojski, galicyjski parlament.

[[Kandydatów na ministrów mamy tylu, że moglibyśmy każdą tekę dać „do trzymania“ dwom lub trzem ministrom, a jeszcze zostałyby kilkunastu. Twierdzą złośliwi, że już teraz wszystkie teki przyszłego gabinetu galicyjskiego są rozdzielone na kilka lat naprzód, z uwzględnieniem trzykrotnej zmiany gabinetu. Do czwartej zmiany jeszcze można się ubiegać o teki. A mamy kandydatów na sto zmian.

Natomiast nie mieliśmy we Lwowie kandydata na tegoroczną literacką nagrodę Nobla, a choć myśleliśmy i o autorze „Lilith“ i o Tadeuszu Rittnerze, o pannie Michalinie Schwarcównie i o innych jeszcze laureatach galic. Wydziału krajowego, to jednak nie mogliśmy się stanowczo zdecydować. Musiał więc tę nagrodę wziąć tymczasem Sienkiewicz, a my zaczekamy, aż nasi literaci podrosną. Za to nagrodę pokojową powinien stanowczo otrzymać ktoś ze Lwowa, a nie pani Suttner, bo we Lwowie znalazłby się chyba nie jeden miłośnik i propagator pokoju n. p. pierwszy z brzegu pan dyrektor policji Schechtel...

Ale już dawno przywykliśmy do tego, że świat nie uznaje cnót ludzkich i gdyby nie to, że Bóg, który siedzi w górze i widzi, co się tu dzieje na dole, nie wartoby być cnotliwym. O tem najlepiej sądzić mogę ja, który zbudziwszy się w dzień św. Mikołaja przeszukałem łóżko, czy nie znajdzie się jakiś podarek (ot proste przyzwyczajenie) a znalazłem na kołdrze edykt licytacyjny na zagrabione u mnie za podatek ruchomości. Takiego „Mikołajka“ nie szukałem co prawda, ale czy u nas raz człowiek szuka czego innego, a co innego znajdzie? U nas szuka się posady, a znajduje żonę, szuka się miłości, a znajduje guzy od laski męzowskiej, szuka się kredytu, a znajduje dawnego wierzyciela jeszcze niezaspokojonego, szuka się pieczyni a znajduje stary usmażony kalosz, szuka się konsula, a znajduje policyantów i tak bez końca...

Jeszcze wypadłoby mi coś napisać o teatrze, ale w teatrze w tym tygodniu nie byłem, więc nie będąc recenzentem teatralnym nie mogę pisać o sztukach, których nie widziałem. Natomiast opowiem wam ciekawą historyjkę na zakończenie dzisiejszej pogadanki, historię o pewnym autorze dramatycznym.

Trudno dziś znaleźć człowieka, który nie ma dotąd na sumieniu jakiejś sztuki teatralnej. Są jednak tacy autorowie, którzy nałogowo piszą, zawodowo obciążają swoje sumienie i sumienie dyrektorów teatru. Nic ich to nie odstrasza, że już kilka dramatów zwróciły im dyrekcyę, a kilka pereł dramatycznych utopiło się w teatralnych śmieciach, oni z pod ziemi wynajdują tematy i fabrykują jeden dramat za drugim.

Taki to autor dramatyczny lwowski, który w głębi swojej poetycznej duszy jest przekonany, że obecni dyrektorowie teatrów nie zasługują na najmniejszy szacunek, skoro na jego gieniuszu dotąd się nie poznali, chciał bodaj najbliższych swoich przyjaciół i krewnych zapoznać z najnowszym swoim dramatem historycznym i w tym celu zaprosił ich do siebie na kolację, nic o deserze dramatycznym nie wspominając. Przyszło dzięki temu ośm osób. Kolacja była dobra, a gdy po kolacyi autor wyjechał z niespodzianką wyciągając kajet, rozpoczęło się suwanie krzesłami i wołanie nie całkiem szczere:

— A, a... i owszem, wysłuchamy...

Poeta rozpoczął czytanie. W połowie pierwszego aktu wysunął się niespostrzeżenie jeden z najbardziej zdecydowanych, za nim pomknął drugi i trzeci, a czwarty i piąty dopiero w drugim akcie skorzystali z zapalu prelegenta, ażeby się ulotnić. Lecz prelegent nie odrywał oczu od kajetu, czytał i płakał i płakał i czytał... Może przeczuwał smutny koniec bohatera, może przeczuwał, że audytorium wypróżniło się sromotnie... Bo jakoś pod koniec przedostatniego aktu, gdy gęste łzy dramatyczne zaćmiły mu oczy i musiał wyciągnąć chustkę od nosa, aby wytrzeć oczy zauważył — o zgrozo — że ze wszystkich gości pozostał tylko jeden, który dotąd trzymał się dzielnie. Przekonany już dawno o grubej niewdzięczności świata odgadł poeta odrazu, że tamci drapnęli przed wzniośłem słowem poezji, przed potokiem boskiego natchnienia, bo oni tego zrozumieć nie mogli, bo ich skóra za gruba na tak delikatne wrażenia, bo ich mózgi za płytkie, za ciasne, za głupie...

Wstał tedy z miejsca, poważnym krokiem przystąpił do dzielnego jedyne go słuchacza, wyciągnął swą dłoń, tę samą, co takie dzieła przenosiła na papier i przemówił polykając łzy:

„Dziękuję ci, kochany przyjacielu, za twoje uznanie, za zrozumienie mojej twórczości, zrozumienie tak rzadkie w tych czasach wstrętnego materyalizmu“... I po tych słowach ujął rękę prawdziwego znawcy i miłośnika literatury, gdy tenże nagle zerwał się z miejsca...

„Bardzo piękny wiersz, ten ci się naprawdę udał — i po tych słowach mimowoli przetał oczy...”

Poeta poznał pomyłkę i gorzko się rozczarował. Jedyny słuchacz mu pozostał, a ten — spał

Klewe.

